



# Głos regionalistów

dodatek  
do Głosu Ziemi Bychawskiej  
redaguje

**BYCHAWSKIE  
TOWARZYSTWO  
REGIONALNE**

**6** (17)  
**2004**

*Ulice, domy, ludzie*

**szósta część wspomnień Macieja Paneckiego  
o Bychawie lat trzydziestych XX wieku.**

## Ludzie, lata, losy

*Maciej Panecki, Warszawa*

### Bychawska Szkoła Powszechna

Powstała z inicjatywy i zabiegów niezapomnianego księdza kanonika Antoniego Kwiatkowskiego bychawska siedmioklasowa szkoła powszechna stanowiąca w opisywanym czasie pod każdym względem przedmiot dumy miasteczka. Okazały, piętrowy, murowany gmach szkoły, zbudowany już w Odrodzonej Rzeczypospolitej w 1923 roku, miał od strony ulicy imponującą fasadę i zlokalizowany był na obszernej, ogrodzonej działce o powierzchni około 1 hektara przy ulicy Turobińskiej. Na działce tej wydzielono miejsca na boisko szkolne z polem do gry w siatkówkę, koszykówkę i bardzo wtedy popularne „dwa ognie”, a także spory, młody sad, po zachodniej stronie gmachu szkoły. Była także skocznia lekkoatletyczna i ręczna pompa do czerpania doskonałej wody, która miała ogromne powodzenie w czasie upałów, a także po zajęciach gimnastycznych i grach sportowych. Budynek mieścił kilkanaście obszernych, jasnych izb lekcyjnych, dużą pracownię robót ręcznych, pokój nauczycielski, mieszkanie kierownika szkoły, dwa pokoje mieszkalne dla samotnych nauczycieli i mieszkanie stróża szkolnego. Ozdobą od strony ulicy był duży, okrągły klomb kwiatowy, do budynku prowadziły kwietniki z płyt betonowych, z boku brama wjazdowa i furka dla pieszych w ogrodzeniu.

Pierwszym długoletnim kierownikiem szkoły bychawskiej był p. Michał Pidek, trzydziestoparoletni wówczas, energiczny, młody człowiek, pochodzący z chłopskiej rodziny z Gielczwi w powiecie krasnostawskim. „Ciało pedagogiczne” liczyło wraz z księdzem prefektem około 20 osób. Byli to w większości etniczni Polacy, ale było też dwoje Ukraińców – pan Bazyli Łojko, przyrodnik, i panna Fedorowiczówna, nauczająca w najmłodszych oddziałach szkoły. Poziom szkoły, która stanowiła właściwie laboratorium oświatowo-wychowawcze, był w latach trzydziestych bardzo wysoki. Nauczyciele, na ogół młodzi, wykształceni już w niepodległej Polsce w tzw. seminariach nauczycielskich, przygotowani byli świetnie do swojego zawodu, uposażenie ich nie było bardzo wysokie, ale wystarczające dla satysfakcjonującej egzystencji, a poza tym atmosfera społeczna tamtego czasu pobudzała wszystkich do wydajnej, owocnej pracy. Młody nauczyciel miał po ukończeniu seminarium od 120 do 150 zł pensji miesięcznej, a ponadto gmina obowiązana była zapewnić mu mieszkanie, opał i światło, a pensja kierownika szkoły wynosiła 250 – 300 zł. Biorąc pod uwagę, że przy zakładaniu rodziny nauczyciele wierzali się zazwyczaj między sobą, łatwo ustalić, że przychód miesięczny pozwalał nie tylko na dostatek utrzymanie małżonków, ale i powiększającej się rodziny. Dzięki temu nauczyciele mieli czas i ochotę na zajmowanie się młodzieżą, także w godzinach popołudniowych, pozalekcyjnych.

### Rozpocząłem naukę w szkole...

W 1930 r. zacząłem uczęszczać do bychawskiej szkoły. Pamiętam pierwszy dzień mojego tam pobytu. Tak się złożyło, że nie byłem odprowadzany przez nikogo ze starszych, być może dlatego, że liczono na moją, znaną już, samodzielność. Jako mały brzdąc załatwiałem bowiem niektóre sprawunki dla domu, takie jak np. kupno cytryn w sklepie spożywczym, czy też pieczywa w piekarni p. Woźniaka. Ceny tych artykułów były w tamtym czasie całymi latami niezmiennie, idiotyczna współczesna inflacja nie miała wtedy prawa obywatelstwa i zakupy standardowych towarów były niezwykle proste. Cytryna 10 groszy, bułka – kajzerka 5 groszy, chleb żytni pyłtowy, czyli z mąki 50, 20 groszy za 1 kg. Przypisano mnie do oddziału pierwszego „b”, którego wychowawczynią i jedyną nauczycielką miała być panna Leokadia Lipcówna, młoda kobieta, a właściwie dziewczyna, bo mogła mieć 20 – 21 lat,

niewysoka, ładna blondynka, będąca córką sołtysa z Kolonii Zaraszów – p. Lipca. Ojca panny Lipcówny znałem już wcześniej, bo kręcąc się po kancelarii gminnej poznałem wszystkich sołtysów, a niektórych jak np. p. Fijołka z Gałęzowa, p. Sobkowicza z Woli Gałęzowskiej, p. Molendę z Osowy, czy p. Korbę z Olszowca odwiedzałem wraz z Tatusiem w czasie jego wizyt służbowych w tych wsiach. P. Lipiec był klasycznym typem polskiego chłopca w najlepszym tego słowa rozumieniu. Dobrego wzrostu, „pleczysty”, z sumiastymi, konopnymi wąsami, z pogodnym, otwartym spojrzeniem. Córka natomiast miała, być może tylko dla nas, dzieciaków, surowy wyraz twarzy, co, jak sądzę, podnosiło jej autorytet w oczach trzydziestu rozbrzykanich, małych źrebaczków.

Bychawa wówczas nie miała jeszcze ani wodociągu, ani kanalizacji, więc utrzymanie higieny było bardzo trudnym problemem zarówno w całej miejscowości, jak i w samej szkole. Nie wszystkie posesje w miasteczku wyposażone były w ustępy i mieszkańcy domów pozbawionych tych urządzeń, co dotyczyło zwłaszcza biedoty polskiej i żydowskiej, korzystali z tradycyjnych miejsc „za stodołą”. Stanowiło to ogromne zagrożenie epidemiologiczne dla osady, nie mówiąc o unoszącym się z zarośli i krzaków fetorze. Szkoła, która nie mogła pozwolić sobie na takie prymitywne rozwiązanie, wyposażona została w latrynę typu wojskowego, przedzieloną ścianką z desek na część „damską” i „męską”. Tu, co sprytniejsi chłopcy wrywali się z lekcji pod pretekstem udania się za „własną potrzebą”, a tak naprawdę dla „atrakcji” podglądania dziewczyn, co jednak szybko zostało rozszyfrowane i ukrócone przez nauczycielkę pannę Lipcównę.

Higiena osobista w tamtym czasie pozostawiała wiele do życzenia. Dzieci, zwłaszcza wiejskie i żydowskie, były na ogół brudne i zawszone, przy czym wątpliwy prym w naszym oddziale dźwierzł Buchsztajn. Jako młody ortodoks, chodził zwykle ubrany „na cebulkę”, w kilka warstw odzienia. Pod chałatem miał jakąś marynarkę, pod nią kamizelkę, pod kamizelką tzw. „pacierze”, czyli płat białej tkaniny z czarnymi paskami, zakładany jak szalik na szyję, i pod częściami garderoby miał dopiero koszulę. Ta odmienność

stroju i wyglądu prowokowała polskich łobuzów do pociągania go za pejsy, czy pacierze, co kończyło się oczywiście bójką.

Gdy zaczynałem naukę w szkole bychawskiej, jej budynek był świeżo po remoncie. Wszystko pachniało farbami i pyłochłonem, to jest, płynem ropopochodnym, używanym wtedy do nasycania drewnianych podłóg w szkołach, urzędach, itp. w celu wzięcia kurzu, i dla zapobiegania unoszeniu się go w pomieszczeniach, w których przewijało się dużo ludzi, nieraz chorych, kaszlących i kichających. W każdej klasie stała spluwaczka, nad którą wisiała kartka z napisem: „Pluj tylko do spluwaczki, plwocina jest roznosicielem gruźlicy”. Ławki w klasie były także nowe, o konstrukcji zespolonej, w której siedzisko połączone było na sztywno z pulpitem pomalowanym na czarny kolor, zawierającym dwa szklane kałamarze wpuszczane w odpowiednie otwory w pulpiciu, a także podłużne wgłębienia na pióro, a ściślej mówiąc na drewnianą obsadkę z wsuwającym w nią piórem. Pod pulpitem znajdowała się odkryta szuflada na książki i zeszyty, przy czym rozmiary ławki dostosowane były oczywiście do gabarytów dzieci i, o ile sobie przypominam, całość była bardzo wygodna, przy czym przez środek ławki biegła belka drewniana łącząca ze sobą pulpity i siedziska i automatycznie oddzielająca siedzące obok siebie dzieci, co eliminowało konflikty związane z podziałem miejsca w ławce.

### Moja polsko-żydowska klasa.

W klasie uczyły się razem dzieci narodowości polskiej i żydowskiej. Z tych ostatnich pamiętam czwórka – trzech chłopców i jedną dziewczynkę, nazywającą się Ryfka Grynberg. Była to ładna brunetka, nieźle się ucząca, spokojna i dość sympatyczna w zachowaniu. Z chłopców żydowskich każdy był jakąś indywidualnością. Największą z nich był niewątpliwie Buchsztajn. Mały, zawsze, zimny, czy latem, w długim czarnym chałacie, w butach z cholewami i czarną „krymką” na głowie, spod której wychodziły spadające mu na uszy, czarne, długie pejsy, czyli kosmyki włosów hodowane tam z przyczyn rytualnych. Buchsztajn, jak i pozostali jego dwaj rodacy, uczył się bardzo słabo, natomiast wyróżniał się rzadką u ówczesnych Żydów bojowością. O ile dwaj po

zostali, o nazwiskach Rajs i Biberklajd, unikali zawsze sytuacji konfliktowych, o które nie jest trudno w takiej gromadzie, a w razie pojawienia się ich, prezentowali maksymalnie koncyliacyjną, ugodową, postawę, to małemu Buchsztajnowi takie podejście było z gruntu obce i podejmował każde wyzwanie. Utkwiły mi szczególnie w pamięci jego bójki z chłopakami wiejskimi „na torby”, po wyjściu ze szkoły. W tamtym czasie dzieci pochodzące z ubogich rodzin, a takich nie brakowało, nosiły książki, jeśli je w ogóle miały, i zeszyty, w torbach uszytych z jakiegoś mocnego płótna, najczęściej lnianego, zaopatrzonych w pasek z tegoż materiału, służący do wieszania toreb na ramieniu. W razie jakiegoś „nieporozumienia” koleżeńskie ściągano się taką torbę błyskawicznym ruchem z ramienia, chwytając za przyszyty do niej pasek i „częstowało” adwersarza uderzeniem odczuwalnym, ale niezbyt silnym i groźnym. W takich właśnie bójkach niejednokrotnie brał udział Buchsztajn, stawiając dzielnie czoła nawet przeważającym siłom przeciwników, a w ostateczności wjeżdżając, ile sił, na krótkich nóżkach, z rozwianym chałatem w kierunku dzielnicy żydowskiej, w której nie śmiał się pokazać, przynajmniej przez kilka dni po awanturze, żaden z jego aktualnych przeciwników. Jeśli by się tam pokazał i spotkał Buchsztajna, to musiałby się ratować podobną jak on ucieczką, aby nie narazić się na mniej czy więcej bolesny odwet.

Szkoła w tamtym czasie była nie tylko miejscem przekazywania wiedzy, ale także placówką wychowawczą. Zgodnie z tym, panna Lipcówna uczyła nas nie tylko pisać i czytać, ale także zasad higieny, zachowania się w szkole, na ulicy, w stosunku do starszych itp. Prawie codziennie, już na pierwszej lekcji, nauczycielka oglądała ręce, szyję i głowy wszystkich dzieci, sprawdzając, czy się umyły i czy nie ma zawszenia. Szczególnie upartych brudasów odsyłała do domu narażając ich na przykre docinki i śmiechy pozostałych dzieci. Do tych też należał najczęściej Buchsztajn, który uparcie skonfliktowany był, nie wiem, z biedą, czy z jakichś zasad religijnych, z wymaganiami higieny. Natomiast jego kolega Rajs ubierał się już „po europejsku”, nosił spodnie, modne wtedy tzw. „pumpy” zapinane na sprzączkę pod kolanami, bardzo zresztą wygodne do jazdy na rowerze, i marynarkę. Nie był ortodoksem pokroju Buchsztajna, ale także nosił długie, czarne pejsy. Obok wzmiankowanych już przeze mnie skłonności koncyliacyjnych, zwracała też uwagę handlowa smykałka tego chłopca. Nie było chyba dnia, żeby Rajs nie przyniósł do szkoły jakiegoś drobiazgu, który chętny był wymienić na brzęcząca monetę. A to jakiś olowiany żołnierzyk, a to latarka elektryczna z kolorowymi



Dzieci polskie z Niemiec na kolonii w Bychawie. Pierwszy rząd od góry: nauczyciel Łojko, uczeń Szwedo, sekretarz gminy Józef Panecki, dr Spoz, felczer weterynarii Franciszek Furmaga, obrońca sądowy Wesołowski, ziemianka i społeczniczka Waleria Skawińska, nauczyciel Józef Chmurzyński, lekarz weterynarii Wincenty Furmaga, komendant posterunku policji Rogulski. W środku proboszcz bychawski ks. Zieliński. Pierwszy rząd od dołu: Anna Panecka, Maciej Panecki, Zbyszek Chmurzyński (4), córka kierownika szkoły Halina Pidek (9). Z prawej strony stoi drużynowy drużyny harcerek Witek Spozowski, obok niego wójt Płaszczewski. Bychawa, 1930 r.

Komentarz autorstwa Macieja Paneckiego, W-wa, 2003 r.

# Ludzie, lata, losy

szkiełkami, ołówki automatyczny, piłka, piórnik itp. Nie wiem, czy zawsze udawało mu się je spieniężyć, ale od czasu do czasu coś tam komuś „wcisnął”. Trzeci uczeń narodowości żydowskiej – Aron Biberklajd, syn felczera, zupełnie różnił się od obydwu swoich pobratymców. Jasny blondynek z niebieskimi oczami i jasną karnacją, autentyczny „nordyk”, noszący stale okulary, był kompletnie bez wyrazu. Mimo że pochodził z rodziny inteligenckiej, dość zamożnej, był bardzo słabym uczniem. Spokojny, cichy, nie wadzący nikomu i nie biorący udziału w życiu klasy, odbębniał po prostu przymus szkolny, mając, być może, jakieś inne upodobania.

Troje dzieci w klasie, oprócz Arona, pochodziło z rodzin inteligenckich. Oprócz mnie była to Halina Pidkówna, córka kierownika szkoły p. Pidka, i Stefan Furmaga, syn felczera weterynarii p. Franciszka Furmagi i jego żony Stefani, nauczycielki szkoły bychawskiej. Reszta dzieci wywodziła się z rodzin chłopskich, z wiosek leżących tuż koło Bychawy, takich jak Grodzany, Ządębce, Wola Mała Bychawska, Wola Duża Bychawska, no i oczywiście z samego miasteczka. Ja, a także Halinka i Stefan umieliśmy już czytać i pisać nauczeni wcześniej w domu, a reszta dzieciaków była kompletnie surowa. Stwarzało to dużą dysproporcję w poziomie intelektualnym i łatwe do wyobrażenia znużenie klasowych „intelektualistów” w czasie, gdy nauczycielka męczyła się nad wbijaniem w głowy, a czasem i w ręce, dzieciaków, abecadła i zasad kaligraficznego stawiania liter. Trwało to przez okres nauki w pierwszym oddziale szkoły, a potem poziom zaczął się powoli wyrównywać, a nawet bywało, że jakieś szczególnie uzdolnione dziecko z klasowej gromadki nie tylko dogoniło, a może nawet ją prześcignęło. Doskonałą pomocą w nauce w najniższych klasach szkoły powszechnej był tygodnik dla małych dzieci p. t. „Płomyczek”. Pamiętam, że każdego tygodnia, w poniedziałek, panna Lipcówna wręczała każdemu dzieciakowi pachnący przyjemnie świeżą farbą drukarską egzemplarz „Płomyczka”. Zawartość tygodnika stanowiła głównie grafika połączona z krótkimi, na ogół wierszowanymi tekstami. Autorami tych bardzo zgrabnych i dowcipnych wierszyków były niewątpliwie utalentowane redaktorki piśmka, panie Lucyna Krzemieniecka, Ewa Szelburg-Zarembina, Janina Porazińska i Maria Kownacka.

W latach 1924 – 1935 szkoła bychawska była nie tylko kuźnią oświaty, ale i animatorką życia kulturalnego. Nauczyciel śpiewu pan Zygmunt Todys, członek chóru rewelersów w Lublinie, przystojny, średniego wzrostu blondyn, o ostrym, przenikliwym spojrzeniu i charakterystycznym, zakrzywionym w bok nosie, zorganizował doskonały chór szkolny mieszany, i bardzo dobrą orkiestrę mandolinistów, w której grała również moja siostra Ania. Nauczyciel robót ręcznych udostępniał z kolei po lekcjach doskonale wyposażoną pracownię tym spośród młodzieży, którzy mając zamiłowanie do majsterkowania, podejmowali się wykonywania użytecznych wyrobów z drewna, lub sprzętu turystyczno-sportowego. Na zakończenie każdego roku szkolnego organizowana była wystawa prac uczniów, na której liczni zwiedzający, nie tylko zresztą sami rodzice, mogli oglądać rysunki, ro-

bótki ręczne, najrozmaitsze wyroby z drewna, a wśród nich imponujące kajaki wykonane przez samą młodzież pod okiem niewątpliwie uzdolnionego nauczyciela. Szkoła bychawska była w tamtych latach przez cały dzień pełna młodzieży. Z pracowni robót ręcznych dochodził stukot młotków i charakterystyczne odgłosy obróbki drewna, z innej sali, dźwięki muzyki, a z jeszcze innej tupot nóg ćwiczących krakowiaka i mazura przed występem w Domu Ludowym. W jednej z sal dalszych niestrudzona żona kierownika szkoły p. Pidka prowadziła próby ze szkolnym zespołem teatralnym. Koncerty chóru i orkiestry mandolinistów, pod batutą p. Todysa, gromadziły zawsze nadkomplety w Domu Ludowym, mającym co najmniej 200 siedzących miejsc. Szkoła organizowała też liczne imprezy teatralne i przedstawienia jasełkowe w okresie Świąt Bożego Narodzenia, a także cieszące się szczególnym powodzeniem występy dziarskiego zespołu tanecznego, występującego w strojach krakowskich, a nie były to przecież jeszcze czasy późniejszego „Mazowsza” czy „Śląska”.

Po południu organizowano gry i zabawy ściągając na nie bardziej ruchliwą i sprawną część młodzieży, głównie męskiej. W pogodne dni miłośnicy sportu wyżywali się w siatkówce i koszykówce pod okiem nauczyciela, a kibicowali im mając z najniższych klas, z upodobaniem obserwując udane ścięcia w siatkówce, lub celne rzuty do kosza.

## Moi pierwsi nauczyciele – wspomnienie ciepłe i barwne oraz biblia po aktorsku

Pierwszym, długoletnim kierownikiem szkoły bychawskiej był pan Michał Pidek, trzydziestoparoletni, wówczas energiczny, młody człowiek, pochodzący z chłopskiej rodziny z Gielczwi w powiecie krasnostawskim. Ciało pedagogiczne liczyło wraz z księdzem prefektem około 20 osób. Byli to w większości etniczni Polacy, ale było też dwoje Ukraińców – pan Bazyl Łojko, przyrodnik, i panna Fedorowiczówna, nauczająca w najmłodszych oddziałach szkoły.

Katechezy uczyło mnie kolejno czterech młodych księży, a mianowicie: Dominik Maj, ks. Paweł Pałka, ks. Kiliś, ks. Kędra. Ksiądz Maj był przystojnym młodym człowiekiem o łagodnym, a nawet, można powiedzieć, marzydzielskim wyrazie twarzy, niezwykle lubianym przez dzieci i odprowadzanym zwykle ze szkoły do domu przez gromadkę rozwrzeszczanych szkrabów. Ksiądz Pałka, który po wojnie został nawet profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, był niskim mężczyzną o jakby stale uśmiechniętym wyrazie twarzy. Był doskonałym pedagogiem i nauczycielem religii. Kiedy opisywał wydarzenia zawarte w Biblii, czy w Ewangelii, robił to w tak zajmujący sposób, że dzieciaki siedziały nieruchomo, wpatrzony z otwartymi ustami w księdza Pałkę. Np. początek przypowieści o szlachetnym Samarytaninie brzmiał, w ujęciu księdza Pałki, mniej więcej tak: „... w lesie za drzewami czają się straszni zbójcy z nożami w zębach, szykując się do napadu na podróżnego wiozącego na osiołku cenne towary. Gdy podróżny pojawił się na lesnej drodze, zbójcy wyskoczyli zza drzew...”. Dysponujący niewątpli-



Muzykujący uczniowie Szkoły Powszechnej w Bychawie. Na zdjęciu z przodu pierwszy od lewej nauczyciel śpiewu p. Zygmunt Todys oraz kierownik szkoły p. Rząźnicki.

wie zdolnościami aktorskimi ksiądz Pałka, każdą opisywaną akcję ilustrował mimiką, modulacją głosu i odpowiednimi ruchami – pochylaniem się, skradaniem zza katedry, szybszymi lub wolniejszymi ruchami, i przebieganiem wzdłuż, lub w poprzek klasy. Byliśmy zachwyceni! Niestety, uczył nas bardzo krótko, bo został przeniesiony do innej parafii.

Panna Lipcówna z kilkoma łobuzami w klasie dawała sobie doskonale radę, stosując dozwolone wówczas metody, takie jak pociąganie za uszy, stawianie do kąta, czy klęczenie w nim. Znacznie bardziej drastyczne środki, w odniesieniu oczywiście tylko do chłopców ze starszych klas, stosowali nauczyciele mężczyźni. Należało np. do tych środków walenie w łapę drewnianym piórnikiem, albo branie „na kolano” i wymierzanie tęgich kłapsów, zwanych potocznie „gorącymi plackami”. Środki te, i nie tylko one, sprawiły, że nauczyciele ci mieli absolutny autorytet na terenie szkoły, ale w równym stopniu i poza nią. Nie mogło to dziwić np. w przypadku nauczyciela śpiewu i gimnastyki p. Karczmarka, bardzo przystojnego, młodego człowieka, późniejszego męża p. Lipcówny. Wysoki, dobrze ponad 1,80 m, jasny blondyn z niebieskimi oczami, rasyowy nordyk o bardzo przyjemnym, pogodnym, wyrazie twarzy. Atletycznie zbudowany, bardzo silny, potrafił, jak głosiła fama, przebiec na ćwiczeniach wojskowych kilkaset metrów, niosąc w trudnym terenie „na grzbiecie” ciężki kaem. Patrząc na jego sylwetkę i wielkie, jak łopaty, dłonie, nie było trudno uwierzyć takim pogłoskom. Sama obecność p. Karczmarka na boisku szkolnym, czy na korytarzu w czasie przerwy działała uspokajająco nawet na najbardziej swawolnych. Duży autorytet miał też, wspomniany tu już młody nauczyciel śpiewu p. Zygmunt Todys. Niższy od pana Karczmarka, ale dobrze zbudowany, z piękną gęstą czupryną zaczesaną do góry, mógł też robić wrażenie na dzieciach. Doświadczyłem osobiście „ciężej ręki” p. Todysa, gdy pewnego razu zacząłem się czubić w czasie paury w klasie z kolegą Tadekiem Berezeckim, synem mistrza młynarskiego, nie pamiętam zresztą o co, i w pewnej chwili poczułem, że ktoś chwytając mnie za rękę, odwraca ją dłonią do góry i wymierza drewnianym piórnikiem mocne uderzenie. Spojrzawszy w górę, a było to w piątym oddziale, miałem 10 lat i byłem jeszcze mikrusem, stwierdziłem, że to p. Todys w tak radykalny sposób pacyfikuje sytuację, wymierzając piórnikiem sprawiedliwość obydwu uczestnikom zajęcia. Był poza tym wspaniałym nauczycielem śpiewu i muzyki, a o poziomie prowadzonej przez niego orkiestry świadczyć może fakt, że by-

ła zapraszana na występy do Lublina, gdzie spotykała się z zasłużonym aplauzem. Moje drugie „spotkanie” z p. Todysem zdarzyło się na przedwiośnie, w marcu, kiedy o godzinie 17.00 robi się już szaro. Z kilkoma kolegami bawiliśmy się w wojnę, uzbrojeni w jakieś kije, drewniane szable itp. sprzęt bojowy. Miałem zdobyty gdzieś pałasz, wystrugany z drewna, i wymachiwałem nim energicznie, strasząc dziewczynki wracające akurat z próby chóru. W ferworze „bojowym” tak się zapamiętałem, że nie zauważyłem nauczyciela, który zbliżywszy się do mnie od tyłu przytrzymał mnie jedną ręką, a drugą wyrwał mi pałasz i wymierzył nim dwa czy trzy razy mocno w moje siedzenie, konfiskując jednocześnie moją broń. Na drugi dzień odwiedził p. Todys w kancelarii gminy Tatusia, zdając Mu relację z wczorajszego zajęcia, o którym ja oczywiście w domu nie wspomniałem, a za dowód postawił zwrócony pałasz. Dostałem oczywiście za to słowną „burę”, na szczęście bez argumentacji siłowej, co jednak dało mi okazję do pouczających przemysleń.

Grono nauczycielskie szkoły bychawskiej było dość liczne i składało się w przybliżeniu po połowie z niewiast i mężczyzn. Oprócz panny Lipcówny i p. Furmagowej, w niższych klasach uczyły jeszcze – wymieniona wcześniej Ukrainka, panna Fedorowiczówna, panna Radlińska i żona kierownika szkoły Pani Pidkowa. Były wtedy wierszowe młodymi kobietami, pełnymi życia i energii, z jaką pracowały nad nauczaniem i wychowaniem dziećmi. W starszych klasach uczyła p. Walczakówna, specjalistka od „rachunków”, jak wtedy mówiono się na matematykę. Nieco starsza od poprzednich, wysoka, lekko pochylona, samym wyglądem generowała respekt dla nauczanej przez siebie dziedziny. Było też kilka małżeństw nauczycielskich. Państwo Filipowie, Kotlińscy, Iwanekowie, Chmurzyńscy, Orszulowie. Ucząca mnie w piątej klasie rachunków, moja wychowawczyni, Pani Filipowa była lwowianką, wysoką, postawną blondynką w wieku ok. 30 lat. Jej mąż, szczupły, dość wysoki mężczyzna, ubrany zawsze w „pumpy”, prowadził w piątej klasie lekcje z geografii i historii. Były to, i pozostały chyba do dziś, najbardziej ulubione przedmioty, a być może sprawił to ciekawy, zajmujący sposób prowadzenia lekcji. Pan Kotliński był postawny, lekko zaciął się przy mówieniu, chodził zawsze w butach z cholewkami, najczęściej prowadził lekcje z gimnastyki. Latem sprowadzały się one najczęściej do popularnej wówczas gry w „dwa ognie”. Nie była to, moim zdaniem, zbyt odpowiednia zabawa dla dzieci, bo miała pewne cechy brutalności, okazywanej czasem przez najstarszych i najsilniejszych chłopców, podczas gdy najslabsi byli zawsze pierwszymi ofiarami uderzeń piłką.

Jedną z największych indywidualności bychawskiego grona nauczycielskiego był nauczyciel robót ręcznych, p. Iwanek. Średniego wzrostu, szczupły, w wieku ok. 30 lat, o sympatycznym wyrazie twarzy. Był niewątpliwie utalentowanym nauczycielem. Potrafił zorganizować wspaniałą salę robót ręcznych, wyposażoną w warsztaty stolarskie, ślusarskie, w wiertarki, w rozliczne narzędzia ręczne i bogate zaopatrzenie materiałowe. Uczył nas oprawiania ksiąg, cięcia szkła, obróbki drewna itp. przydatnych robót. Bardzo cierpliwy, nie unosił się, gdy ktoś zepsuł materiał lub przyrząd, spokojnie tłumaczył, jak należy wykonywać daną czynność, i w efekcie chłopcy pracowali bez stresu, a wyniki były zdumiewające. Na zakończenie każdego roku szkolnego organizował p. Iwanek wystawę najlepszych prac uczniów i było tam, doprawdy, na co popatrzyć: wieszaczki, wieszaki, szafki, najrozmaitsze półeczki, stołeczki, a nawet wspaniałe kajaki, wykonane przez najstarszych uczniów. Na obchodzone w czerwcu uroczyste Święto Morza p. Iwanek miał przygotowane dwa, trzy kajaki markujące na zalewie Gałęzówki, pod górą kościelną, flotyllę morską, obsadzoną przez nauczyciela i jego uczniów.



Mieszany chór szkolny w Bychawie, w 1933 r. W środku kierownik szkoły p. Rząźnicki i obok niego organizator i dyrygent chóru, nauczyciel śpiewu Zygmunt Todys (z lewej). W pierwszym rzędzie siedzą od lewej: Grudzień, Mietek Kuna, Kula, Pytlík, 9-ta Anna Panecka, 14-ta Wesołowska. W drugim rzędzie od lewej stoi Zosia Dudkiewicz i siedzą: 4 Żydówki, 6-ta Świebodówna, 7-ma Dudkiewiczówna, 8-ma Wacka Luterkówna, 10-ta Krysia Kamińska (córka komendanta policji, zginęła w Powstaniu Warszawskim). W trzecim rzędzie od lewej: Zygmunt Onuszkiewicz (syn organisty), 2 Żydówki, NN, NN, Wacka Golewska, Ulów-na (Niemka), Hanaj (syn fotografa). W najwyższym rzędzie od lewej: 5 Żydówek, Tadeusiak, 3 Żydówki, NN, Drozdowska i Szewdo.

Komentarz do zdjęcia Macieja Paneckiego z 2003 r.

W nast. odc. m. in. ciąg dalszy o szkole.